

SZKOŁA POD BAOBABEM

BARBARA
RYBAŁTOWSKA
SZKOŁA POD BAOBABEM

SAGA
„BEZ POŻEGNANIA”
TOM II



AXIS MUNDI

PROJEKT OKŁADKI: Natalia Harańczyk
SKŁAD: Positive Studio
ZDJĘCIE AUTORKI: Marta Szelichowska
REDAKTOR PROWADZĄCY: Marta Szelichowska
REDAKCJA I KOREKTA: Elżbieta Makowska
KOREKTA: Iwona Hardej
KOREKTA TECHNICZNA: Basia Borowska

WYDANIE VII

ISBN: 978-83-8383-185-5
EAN: 9788383831855
ISBN E-BOOK: 978-83-8383-186-2

Copyright © by Barbara Rybałtowska
Copyright for this edition © 2025 by Axis Mundi

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część książki nie może być wykorzystana bez zgody wydawcy.



ROZDZIAŁ PIERWSZY KONWÓJ

Jeszcze tylko trzy dni i będę mogła biegać po gorącym piasku razem z innymi dziećmi. Wrócę do mamy, którą teraz mogę widywać jedynie z daleka. To miejsce, gdzie jestem, nazywają kwarantanną. Bo my wszyscy chorujemy na jakąś zakaźną chorobę oczu. Właściwie to już jesteśmy prawie zdrowi, ale mieszkamy tu wciąż za drutami, żeby nie zarazić innych. Już czuję się dobrze, zeszła opuchlizna z powiek i oczy nie boją. Dziś dostałam ciemne okulary, a za trzy dni mama mnie stąd zabierze!

Odwiedziny są o czwartej. Zanudzam siostrę ciągłym dopytywaniem się o godzinę. Nareszcie jest za dziesięć czwarta. Ustawiam się przy drewnianej barierce. Za barierką są jeszcze kolczaste druty, za nimi druga barierka i dopiero za tą drugą stoi mama. Ciekawa jestem, po co są te kolczaste druty? Może po to, żeby zarazki się o nie kaleczyły?

A może po to, żeby nie przychodziły tu szakale? Do obozu pod Karaczi, gdzie mieszkałam z mamą, zanim nie dostałam zapalenia oczu, często w nocy przychodziły szakale. Czasem wchodziły do namiotów, myszkowały, wykradały jedzenie, a raz nawet kogoś pogryzły. Ja się ich nie boję, bo do naszego namiotu nie zaglądały, ale nie lubię słuchać, jak wyją. Czasem

zawodzą jak dzieci i wtedy tak mi straszno, że wolałabym chyba, żeby mnie taki ugryzł i nie darł pyska.

Myślę sobie o szakalach i nawet nie zauważyłam, kiedy nadeszła mama.

– Dzień dobry, Kasiu! Skąd masz takie piękne okulary?

– Od pana doktora. Och, mamusi! Mam dla ciebie nowinę!

– Coś dobrego?

– Tak. Wiesz, mamusi, jestem zuch, bo z oczami już wszystko dobrze i za trzy dni stąd wychodzę! Tak powiedział pan doktor!

– Naprawdę? Bardzo się cieszę!

Między jedną a drugą barierką jest taka duża przerwa, że trzeba głośno krzyknąć, żeby się usłyszeć, zwłaszcza że rozmawia wiele osób i wzajemnie się zagłuszają.

Zanim zdążyliśmy wszystko sobie powiedzieć, odwiedziny się skończyły.

Mama kupiła mi nowe buty. To nie są sandały, będą więc wygodne do biegania po piasku, który w słońcu jest taki rozpalony, że parzy w stopy.

Bardzo się cieszę, że niedługo wyjeżdżamy z Karaczi. Mama mówi, że to jest pechowe miejsce. Przez te upały panują tu różne choroby i jest głód. Bardzo trudno w mieście kupić coś do jedzenia, gdyż nie było w tym roku urodzaju. W przyszłym roku też chyba nie będzie, bo na domiar złego w lecie był jeszcze nalot szarańczy.

Ludzie, którzy tu mieszkają, są bardzo chudzi, mają olbrzymie, czarne oczy i ciemną skórę. Czasem przychodzą do obozu, wyciągają ręce i proszą: „Mama, daj koleba”, co ma znaczyć: „mama, daj chleba”. Ktoś ich nauczył tych słów po polsku. Wołają tak do mężczyzn, kobiet i dzieci. Jednak brzmi to jakoś po hindusku, bo wymawiają te słowa, jakby je śpiewali, jakoś

miętko i melodyjnie. Przy tym przechylają na bok głowę i tak smutno patrzą ogromnymi, wilgotnymi oczyma, aż mi przykro, że nie jestem dorosła i nie mogę zdobyć dla nich dużo „koleba”.

Wszystkim tu jest smutno, dlatego z radością stąd wyjeżdżamy.

Jestem już w obozie, ale mama się boi, że zachoruję na czerwonkę, bo teraz jest taka epidemia. Mama mówi, że tylko ciągle liczy dni do wyjazdu, ale ja nie mam tyle cierpliwości, żeby bez przerwy te dni liczyć, i wolę się bawić z dziećmi albo biegać. Nie wolno mi jednak za często wychodzić z namiotu, żeby niesiony wiatrem piasek nie zasypał mi oczu, o które muszę teraz dbać.

Jeszcze dwa tygodnie byliśmy w Karaczi i ani mama, ani ja nie chorowałyśmy. Kiedy odjeżdżaliśmy do Bombaju, doktor pozwolił mi już zdejmować okulary, ale jeszcze je nosiłam prawie przez całe dni, bo nie mogłam przyzwycząć się do blasku słońca.

W Bombaju bardzo długo czekamy na nasz statek. Ciągle jakieś statki przybijają, ale nikt nie wie, kiedy przyplynie ten, który zawiezie nas do Afryki.

Mama mówi, że nas tu zupełnie zmarnują. Koczujemy w takiej ogromnej hali bez łóżek. Kiedyś był tu magazyn towarowy, a teraz dużo ludzi z różnych transportów czeka na statki. Mama w nocy nie śpi, tylko pilnuje mnie i bagaży. Rano jest bardzo zmęczona i ciągle drzemie. Przedtem zawsze prosi mnie, żebym się nie włóczyła, i prosi jedną panią, która siedzi obok nas, żeby mi nie pozwalała odchodzić. Ja się wcale nie chcę włóczyć, bo nie lubię robić na złość mamie, tylko że ta pani mnie wcale nie pilnuje. Ledwie mama zaśnie, to ona też zamyka oczy i czym prędzej zasypia. Wtedy jest mi bardzo smutno, nudzi mi się, nie mam z kim rozmawiać. Nie mogę

przecież całymi dniami gadać do misia, który jest trochę głuchy, bo ma urwane jedno ucho. Wychodzę więc nad morze, żeby zobaczyć, czy nie przyplłynął nasz statek. A w porcie jest tyle ciekawych rzeczy, że zapominam o obiecany powrocie.

Wczoraj włóczyłam się dosyć długo i dostałam lanie. Moim zdaniem zupełnie niesłusznie. To było tak: Idąc wzdłuż brzegu, doszłam do miejsca, gdzie nie przybijają statki, tylko stoi stale jeden bardzo stary i ciągle go naprawiają. Zaraz za tym statkiem była płytka woda, w której kąpały się hinduskie dzieci. Mama nie pozwala mi wchodzić do wody, ale pomyślałam sobie, że chyba będzie zadowolona, jeśli wrócę wykąpana, bo nie będzie mnie musiała myć, polewając z garnuszka. Zdjęłam więc sukienkę i wskoczyłam do wody, na wszelki wypadek w butach, bo zawsze boję się, że na bosaka wejdę na szkło.

Kąpiel była wspaniała. Trwała chyba dosyć długo, ale było tak wesoło, że nie chciało mi się wychodzić na brzeg. Niektóre Hindusiatka, chociaż takie małe jak ja, umiały pływać. Ja też udawałam, że pływam, skakałam na jednej nodze albo podpierałam się rękami, ale cała prawie byłam na wierzchu i to wyglądało tak, jakbym naprawdę płynęła. Raz napiłam się trochę wody i omal nie wymiotowałam, taka była gorzka i niesmaczna. Potem zaczęliśmy się bawić, kto kogo mocniej ochlapie. Jeden chłopiec napryśkał mi okropnie w oczy. Bardzo mnie piekły i zaczęłam głośno płakać, bo myślałam, że znowu zachoruję na to wirusowe zapalenie oczu. Dzieci się zmartwiły i przestały chlapać, więc nie wyszłam z wody. Zaraz też przestałam płakać, bo już nic mnie nie piekło i wiedziałam, że nie zachoruję. Podskakiwałam sobie wesoło, woda była ciepłutka, słońce świeciło i było mi dobrze.

Nagle wszystkie Hindusiątka zaczęły uciekać z wody, patrząc ze strachem na brzeg. Odwróciłam się. Na brzegu stała moja mama. Była bardzo zła. Widocznie już dłuższą chwilę mnie wołała, ale fale szumiały i robiliśmy tyle hałasu, że nie usłyszałam. A mama chyba krzyczała długo i głośno, bo wystraszyła z wody wszystkie dzieci. Kiedy zawróciłam do brzegu, mama aż się cofnęła.

– Rany boskie, jak ty wyglądasz!

– Wykąpałam się, nie będziesz musiała mnie myć! – krzyknęłam radośnie.

– Natychmiast wyłaż z tego brudu!

Dopiero teraz zauważyłam, że cała woda płynąca od starego statku jest mętna i mieni się wszystkimi kolorami tęczy. Wylano tam jakiś smar czy olej i wszystko przypląnęło na brzeg. Spojrzałam na siebie. Ręce i nogi miałam oblepione czymś szaro-tłustym i śmierdzącym. Wskoczyłam szybko z wody. Chciałam założyć sukienkę, żeby mama nie mogła dokładnie zobaczyć, jaka jestem brudna, ale sukienki nigdzie nie było...

– Za co Bóg mnie skarał takim dzieckiem? – lamentowała mama. – Nie mogę głowy odwrócić, żeby czegoś nie napsociło! Zmartwiłam się.

– Mamuś, ja naprawdę chciałam ci tylko pomóc, żebyś mnie nie musiała myć, zawsze mówisz, że nie masz już siły polewać mnie garnuszkiem...

– Zamilcz. Nie znoszę pyskatych dzieci. Szukam cię od trzech godzin, szukam jak wariatka!

– Od trzech godzin? – zdziwiłam się. – Przecież ja dopiero wyszłam. Chciałam zobaczyć, czy jest nasz statek, ale nie było, więc się wykąpałam...

– Och, jeszcze do tego kłamczucha! Ja już nie mam siły, ja sobie życie odbiorę...

Przestraszyłam się nie na żarty, bo co ja bym sama bez mamy zrobiła. Zaczęłam więc płakać, jak mogłam najgłośniej. Objęłam mamę wpół, tak że nie mogła iść, i zaczęłam prosić:

– Mamusiu, kochana, błagam, nie odbieraj sobie życia, bo mnie okradną. Mamusiu, ja nigdy więcej nie będę się włóczyć...

Mama spojrzała na mnie. Jeszcze trochę była zła, ale już nie krzyczała, tylko powiedziała, że ma zszarpane nerwy przez to czekanie. Wolę jednak to, niż żeby przez moje włóczęgostwo miała odebrać sobie życie. Tego to już bym nie zniosła. Mama przestała więc krzyczeć, ale przyłożyła mi trzy tęgę klapsy. Natychmiast przestałam płakać – wiedziałam, że to koniec awantury. Lubię klapsy, chociaż boją, bo wtedy już nie muszę słuchać różnych narzekań.

Tymczasem w hali wielkiego magazynu, gdzie obozowaliśmy, panowało wielkie zamieszanie. Ludzie pakowali lub przestawiali swoje manatki i tłoczyli się przy wyjściu. Zrozumieliśmy, że nareszcie przyplłynął nasz statek. Ponad zgłęb głośów wybijał się jeden, wyczytujący tych, którzy mają odpłynąć.

Mama była zdenerwowana, bo ciągle nie słyszałyśmy naszego nazwiska. Potem jednak spotkałyśmy naszą sąsiadkę i dowiedziałyśmy się, że byłyśmy wyczytane na samym początku. Byłam uszczęśliwiona, bo wreszcie znajdę się na statku, a do tego w ogólnym zamieszaniu mama zapomniała o skradzionej sukience.

Popłyniemy konwojem. Trzy statki popłyną przed nami, dwa z boków i dwa z tyłu. Cztery z nich to okręty wojenne, które nas będą eskortować. To dlatego, że na Oceanie Indyjskim znajduje się teraz jedno z ognisk wojny. Tak przynajmniej mówili starsi. Jestem ogromnie ciekawa tego ogniska. Jak ono może się palić na oceanie, gdzie jest tyle wody?

Zanim wreszcie załadowano nas na statek, był już późny wieczór. Dostałyśmy z mamą miejsca na najniższym pokładzie klasy turystycznej. Nie starczyło jednak dla nas łóżek i miałyśmy tylko hamaki. Mama mimo to nie narzekała, szczęśliwa, że skończyło się czekanie w porcie, a mnie było naprawdę wszystko jedno. Ludzi na statku było tyle, ile tylko mogło się pomieścić.

Następnego ranka, gdy wyszłam na górny pokład, nie było już z żadnej strony widać ziemi, spoza chmur trochę świeciło słońce i dął silny wiatr. Ogromne fale kołysały nami gwałtownie. Mama od razu poczuła się źle i wróciła na dół. Ja zostałam.

Podobało mi się na statku. Na pokładzie było dużo miejsca i można by swobodnie biegać, gdyby nie kręciło się tam tyle ludzi. Trochę wyżej był jeszcze jeden pokład, tylko od połowy statku. U góry z tego pokładu sterczał ogromny okrągły komin pomalowany na biało i wspinały maszt. A na dole stały przykryte grubym płótnem niewielkie łodzie. To były łodzie ratunkowe.

W ogóle wszędzie było mnóstwo zakamarków i nie zdążyłam jeszcze wszystkiego obejrzeć, gdy rozległ się gong. Wzywali już pierwszą grupę pasażerów na obiad. Wróciłam do mamy, ale na obiad poszłam sama, bo mama mówiła, że nawet nie może myśleć o jedzeniu, tak ją męczy choroba morska.

Po południu wszyscy musieli zebrać się na górnym pokładzie, dostaliśmy korkowe pasy, nazywane też kamizelkami, i zaczął się próbny alarm. Powiedziano nam, kto należy do której łodzi, i pouczono, jak się zachowywać w wypadku tonięcia statku. Okazało się, że te pasy mogą utrzymywać człowieka na powierzchni wody.

Alarmy powtarzały się każdego dnia i ludzie mówili, że nie wszystkie były próbne. Bardzo lubiłam chodzić w kamizelce

ratunkowej, bez względu więc na to, czy był alarm, czy nie, ubierałam się w nią.

Moja koleżanka Olesia nauczyła mnie pięknej piosenki: „Czy to w dzień, czy o zachodzie”. Śpiewałam tę piosenkę od rana do wieczora.

Któregoś dnia usiadłam na ławeczce tuż przy burcie i plułam do wody. Kropla śliny spadała, spadała i zanim wpadła do morza, traciłam ją z oczu. Chciałam jednak koniecznie zobaczyć, jak dotyka wody, i dlatego plułam bardzo długo, aż w końcu zupełnie zabrakło mi śliny. Usiadłam więc tyłem do burty i zaczęłam śpiewać tę moją piosenkę. Zaśpiewałam ją całą od początku do końca i wydało mi się, że jest bardzo ładna, więc zaczęłam drugi raz. Na tej samej ławce siedział jakiś pan i czytał książkę. Chyba nie bardzo mu się podobała moja piosenka, bo spoglądał na mnie z coraz bardziej niezadowoloną miną. Zaczęłam więc śpiewać bardzo głośno, żeby usłyszał, jaka to piękna melodia:

*Czy to w dzień, czy o zachodzie
Płyniemy z prądem fal.
Płynie nasza łódź po wodzie,
Niesiona wichrem w dal.*

Tego pan jednak nie wytrzymał i poprosił, żebym śpiewała trochę ciszej i niżej. Powiedziałam, że chętnie zaśpiewam ciszej, jeśli mu przeszkadzam, ale niżej nie mogę, bo mama kazała mi się bawić na powietrzu.

– Ależ, dziecko, możesz tu zostać, ale nie piszcz tak, bo uszy pękają!

– Ja przecież nie piszczę, tylko śpiewam!

– Piszczysz, bo zaczynasz za wysoko.

– A jak mam zaczynać?

- Niżej.
 - Przecież mówiłam panu, że muszę być tutaj.
 - No to sobie bądź tutaj, ale jeśli już musisz bez przerwy śpiewać, to zacznij ze mną, o tak...
- I ten pan zaczął moją piosenkę, i naprawdę znał ją doskonale, tylko zaczął takim grubym głosem, że nie mogłam z nim śpiewać.
- Wie pan co? Już mi się odechciało śpiewać. Porozmawiajmy – zaproponowałam.
 - O czym?
 - O ognisku.
 - O jakim ognisku?
 - O tym, które pali się na oceanie.
 - Na oceanie?
 - Tak. Mama mówiła, ale ja już tyle dni wypatruję i nie widziałam. A podobno tu, na oceanie, jest teraz jedno z ognisk wojny.
 - O to ci chodzi? – roześmiał się. – To się tylko tak mówi „ognisko wojny”, a to znaczy, że na oceanie toczą się walki.
 - Aha! No to w takim razie mogą nas zatopić.
 - Pewnie, że mogą. Ale nie masz się czego bać, przecież płyniemy pod eskortą.
 - I ta eskorta nas obroni?
 - Naturalnie.
 - Chciałam o tym porozmawiać z mamą, ale jest zajęta.
 - Zajęta?
 - Tak.
 - A dlaczego ty bez przerwy masz na sobie pas ratunkowy?
 - Bo mi zimno.
 - Zimno? Przecież jest zupełnie ciepło, a zresztą mama może ci dać sweterek albo coś wygodniejszego niż ten pas.

– Mama nic mi dać nie może, bo nie ma czasu.
– A cóż takiego robi twoja mama?
– Mama musi wymiotować i nawet nie może patrzeć na jedzenie.

– A to dobre! – roześmiał się znów ten pan. Pośmiał się jeszcze chwilę i powiedział, że jestem zabawny bąk.

Obraziłam się.

– Ja nie jestem bąk, proszę pana. Ja już umiem czytać pisane litery. Wszystkie. I liczyć też umiem.

Za chwilę jednak wydało się, że jestem bąk, bo nagle zjawiała się mama i jak na złość przywitała mnie słowami:

– Gdzie ty, bąku, przepadasz? Ciągłe cię muszę szukać.

Byłam zła, że mama zamiast robić to, co do tej pory, zaczęła nagle mnie szukać. Ten pan gotów pomyśleć, że jestem kłamczuchą. Chyba jednak nic takiego nie pomyślał, bo tylko zapytał mamę, czy się lepiej czuje, i powiedział o mnie, że mam fantazję.

Mama chciała mi zdjąć pas ratunkowy, ale nie pozwoliłam.

– Mamusiu, ja nie umiem go prędko zawiązywać. Co będzie, jak wybuchnie nagle ognisko wojny i zatopią nas, a ja nie zdążę go założyć?

Mama zrozumiała, że mam rację, i dała mi spokój z pasem, tylko zaczęła wypytywać, co robiłam przez cały czas na pokładzie. Powiedziałam, że śpiewałam i plułam do wody. Zdaje się, że palnęłam głupstwo, bo mama krzyknęła:

– Co? Pluć? I naturalnie wychylałaś się za burtę...

– Ojej, wielkie rzeczy. Umieć bardzo nisko wychylać się za burtę. Ćwiczyliśmy się dzisiaj z dziećmi na dziobie, kto potrafi najniżej.

Mamę strasznie to zdenerwowało, nawet chyba nie dostanę klapsa, bo wygląda tak, jakby znowu miała zamiar odebrać

sobie życie. No i co ja mam z tą mamą? Opowiadaniem wszystkiego szczerze przysparzam jej ogromnych zmartwień, i to w ciężkich czasach, kiedy mama niesie mnie jak szczenię w zębach i stara się ochronić przed złym losem.

Z tymi zębami to mama przesadza, bo gdyby mnie naprawdę wzięła w zęby, narobiłabym wielkiego krzyku. Od czasu gdy pies pana Romaniaka w Karaczi ugryzł mnie w nogę, nie noszę żadnych zębów. Ale mama uparcie twierdzi, że niesie mnie w zębach i robi wszystko, żebyśmy jakoś przetrwały wojnę i wróciły do Polski, a ja jestem niewdzięczna i nie potrafię tego docenić.

Tymczasem na statku wszyscy byli coraz bardziej zdenerwowani. Jakąkolwiek zabawę z dziećmiakami wymyślaliśmy, była nieodpowiednia. Narzekano, że załoga to nie są marynarze z krwi i kości, bo tych skierowano na okręty wojenne, tylko zwykła zbieranina. Mnie się ta załoga podobała. Było dużo Hindusów i nawet Arabowie w pięknych turbanach, a także Chińczycy o skośnych oczach. Pasażerom się nie podobali, bo podobno nie mieli nic wspólnego z morzem, a w czasie niebezpieczeństwa pierwsi tracili głowy.

Ale pasażerowie bali się jeszcze bardziej. Przenosili się z tobołkami na górę i stłoczeni niedaleko łodzi siedzieli ubrani w pasy ratunkowe. Nie mogli spać ani jeść, tylko rozmawiali o wojnie i czekali na torpedę.

Jednak nie doczekali się. Przepłynęliśmy bowiem już miejsca, gdzie mogły być ogniska wojny, i statek przekroczył granicę wód terytorialnych Afryki. Mamy płynąć jeszcze tylko jeden dzień i już będziemy w Mombasie.

Spytałam mamę, czy z Mombasy jest już niedaleko do Polski. Mama powiedziała, że nie, bo Mombasa to jest południe, a Polska jest z odwrotnej strony. To szkoda. Żałuję

też, że tam jest tylko południe, czasem lubię, jak jest rano albo wieczór.

Zanim jednak minął ten jeden dzień, zdarzyła się na statku okropna rzecz: umarła moja najlepsza koleżanka, Olesia Krasówna. Wypadła z hamaka, i to tak nieszczęśliwie, że się zabiła. Jej mama strasznie rozpacza. Na statku wcale nie chcą trzymać zwłok i zaraz zrobią pogrzeb.

To było straszne. Nigdy dotąd nic mnie tak nie zdenerwowało, mama nawet żałowała, że mi pozwoliła przy tym być. Olesię zapakowali i wyglądała jak ogromne pudełko owinięte materiałem. Jej mama strasznie płakała i dużo ludzi też. Kierownik transportu stanął przy burcie i wygłosił przemówienie, od którego wszyscy zaczęli jeszcze bardziej płakać. Mówił tak:

– Najmilsi rodacy! Dopływamy przecież cało, choć w każdej chwili groziło nam to, że znajdziemy grób na dnie tych wód. Okrutny Neptun wydarł nam jednak ofiarę, jakże niewinną. Traktujmy ją jak małą bohaterkę. I ona zginęła za ojczyznę. Dziwicie się? To przecież wina wojny, to wina naszych wrogów, że zajęli nasz kraj, że tułamy się po świecie. Gdyby był pokój, żyłaby spokojnie w którymś z naszych pięknych miast czy którejs z wiosek. W tej smutnej chwili pomyślmy o wszystkich, którzy giną, walcząc tam w kraju, i o tych, którzy giną na wygnaniu, z bólem, że walczyć nie mogą. Zabierzmy ze sobą serce małej Olesi i nieśmy je w sercach naszych aż do wyzwolonej Polski.

Kiedy skończył, było dziwnie cicho i dopiero po chwili tu i ówdzie rozległ się płacz. Potem do Olesi podszedł ksiądz, pokropił ją wodą, pomodlił się trochę i Olesię podnieśli i wyrzucili za burtę. Wtedy ja też zaczęłam okropnie płakać. Bo Olesia zupełnie tonęła. Nie włożyli jej pasa ratunkowego, a nawet miała zawinięte ręce i nogi, nie mogła się więc ratować.

Moja mama mówiła, iż nie może sobie darować, że mnie na ten pogrzeb zabrała. Prosiła, żebym się uspokoiła, ale nie mogłam, chociaż bardzo chciałam, i płakałam coraz bardziej. Kiedy tylko Olesia znikła pod wodą, statek zaczął szybko płynąć i już nawet nie można było poznać miejsca, w którym utonęła.

Nazajutrz wszystko na statku było odmienione. Pokłady wyszorowane, ludzie radośni i uśmiechnięci. I nareszcie widać było ziemię. Płynęliśmy ku niej. Rysowała się na horyzoncie coraz wyraźniej, już widać było kopuły, domy i wysokie, strzeliste palmy. Całe skąpane w słońcu miasto wyłaniało się na nasze spotkanie. Na statku wszyscy wyglądali odświeżeni.

Mama założyła śliczny różowy kostiumik, który się nie gniece, i kapelusz z cieniutkiej kremowej słomki z różową wstążką. Ten kostiumik i kapelusz mama kupiła w Teheranie. Mama wygląda przepięknie. Jestem bardzo z niej dumna, trzymam ją mocno za rękę, żeby wszyscy widzieli, że jest moja. Ja też chyba wyglądam pięknie, ale nie tak bardzo, bo nie mam kapelusza. Jestem dziś w sukience w niebieskie i różowe kwiatuszki. Ta sukienka zamiast rękawów ma falbanki i to wygląda tak, jakbym miała skrzydełka. Mama mówi, że w tej sukience jestem podobna do aniołka, tylko niestety mam duszę diabła.

Bardzo się cieszę, że mama tak pięknie wygląda. Pod kapeluszem oczy jej nie są już ciemnobrązowe, tylko zupełnie czarne. Zauważyłam, że stojący obok nas oficerowie zazdroszczą mamie, bo co chwila patrzą z zachwytem na jej kapelusz i coś mówią do siebie po angielsku. Mama też widzi, że chcieliby mieć taki kapelusz, ale udaje, że nic jej to nie obchodzi. Jednak jest bardzo zadowolona. Umiem już poznać, kiedy mama jest zadowolona, a przy tym nie chce się z tym zdradzić. Chodzi wtedy wyprostowana, oczy jej bardzo błyszczą i patrzy długo

na różne rzeczy, które jej wcale a wcale w tej chwili nie obchodzą.

Statek nasz zakotwiczył w miejscu, skąd nie widać było nic oprócz wielkich magazynów. Ledwie któryś z pasażerów zszedł po trapie, a już obstępowało go kilku Afrykańczyków.

Nasze walizki powędrowały do rąk dwóch czarnych dryblasów, ubranych w zielone drelichowe szorty i koszulki z krótkim rękawem. Na głowach mieli czerwone czapki w kształcie rondelków z czarnymi pomponami. Pomogli nam wsiąść do samochodów, którymi pojechaliśmy na dworzec kolejowy. Potem inni czarnoskórzy pomogli nam załadować się do pociągu.

Jeden z nich niósł mnie na rękach. Okropnie się bałam, że nagle zawróci i zacznie ze mną uciekać, ale nie zrobił tego. Szedł za mamą. Do tej pory wyobrażałam sobie, że Afrykańczycy są mali, a okazali się nawet więksi od niektórych dorosłych ludzi. Ten, który mnie niósł, miał bardzo duże wypukłe oczy i grube wargi. Kiedy się uśmiechnął, pokazał dużo białych jak twarożek, ogromnych zębów. To był dobry człowiek, bo oddał mnie mamie i jeszcze pomógł nam poukładać w przedziale walizki.

W niecałe dwie godziny pociąg ruszył. Czekala nas długa podróż aż do Mukono pod Kampalą w Ugandzie.